

Kiedy Morgan De Sanctis poniósł piłkę w stronę nieba - i wyglądał jak Coelho, brazylijski sędzia, który odgwizdał koniec finałowego meczu w Madrycie na mundialu 1982 - Roma pokonała nie tylko Chievo, ale wszystkich. Tak właśnie W czwartek Roma pokonała wszystkich, dobrych i złych (jak to się może skończy?), pięknych i przede wszystkim brzydkich. W tym meczu nie graliśmy tylko przeciw Chievo, ale też przeciw 25 milionom puszczaków-pesymistów wszelkiego rodzaju.

Nie tylko przeciw tym najbardziej znanym, jak laziale, ale też przeciw kibicom Juve, Interu, Milanu, Fiorentiny, Napoli, Verony. Przeciw arlekinom, kosmitom, parlamentarzystom, urzędnikom, bankierom. Naprzeciw nas stanęły nasze lęki, te racjonalne i te do pokonania. Wśród nich lęk przed byciem wielkim i przed wykonaniem kolejnego kroku w przód. Kroku, który robi różnicę: iść lub zniknąć, działać lub żałować. Naprzeciw nas stanęła także wielkość naszych marzeń, zawsze zbyt wielkich, które w przeszłości przekształcały się w koszmary albo mydlane bańki. W nicość. Naprzeciw nas mieliśmy coś jeszcze. Naszą historię.

Ponieważ jeśli Juventus Sivoriego i Platiniowego, Milan Rivery i van Bastena, Napoli Maradony, Inter Mazzoli i Matthaeusa, jeśli żadna drużyna we Włoszech nigdy nie zdołała wygrać 10 meczów z rzędu na początku sezonu ligowego, to znaczyło, że gramy przeciw wszystkim tym symbolom i fantazjom, przeciw kronikom i sylogizmom, statystykom i wspomnieniom. Naprzeciw nas stanęły także czarownice tego święta bez sensu (zresztą przecież kiedy gra Roma żadne inne święto się nie liczy), a nawet papieskie błogosławieństwo dla Chievo. W tamtym meczu Garcia mógł jednak więcej niż Bergoglio, a papież, który jest kibicem, na pewno mu wybaczy i przyłączy się do naszych dziesięciu przykazań.

Amen dla puszczaków, Amen dla naszej dziesiątki, Amen dla historii i niech się stanie. Pokonaliśmy wszystkich i dlatego było to tak trudne. Chievo było warte Brazylii z 1982 roku (mieli nawet te same barwy). Graliśmy nie tylko sami przeciw wszystkim, ale też przeciw własnym obawom i ograniczeniom, a nawet przeciw marzeniom i nadziejom. To był mecz życia, ale nie w taki sposób, jak rozumieją to wszyscy. Przeciwnie. Nie mecz jednego ciosu. Nie mecz pięknych gestów na miarę poezji. To był mecz życia, który grasz wtedy, kiedy wstajesz i idziesz do pracy. Kiedy się nudzisz lub jesteś zmęczony, a jednak musisz kontynuować. Kiedy jesteś zakochany i przez chwilę wydaje ci się, że to już koniec. Mniej więcej to wszystko czuł romanista po tej kolejce w środku tygodnia.

Po pięknym starciu z 9 kolejki, tym razem czekał nas mecz dnia codziennego i wygraliśmy go 1-0. Nie tylko dlatego, że 1 i 0 dają 10, a bez dziesiątki w meczu z Empoli wygraliśmy niegdyś 1-0, zapewniając sobie inną rekordową dziesiątkę w czasach Spallettiego. Wygraliśmy 1-0, żeby dać odczuć, jakie to cenne. Ile

wymagało pracy, potu, wysiłku. Jak bardzo było zasłużone, właściwe, konieczne i wymarzone. Jeden gol, który uczynił nas szczęśliwymi. Czegóż więcej trzeba w życiu? Czasem wystarczy gest, słowo, list, pocałunek, uśmiech. Jedne uderzenie głową. Kiedy Roma strzeliła wczoraj, stało się właśnie to wszystko. I cały ciężar zniknął. Obejrzyjcie sobie raz jeszcze, jak cieszą się piłkarze, kiedy Borriello uderza piłkę w locie. Są jak motyle, które rozwijają skrzydła i lecą w historię. Tę historię podnieśliśmy teraz w górę, pokazując tym, którzy twarz stracili dawno temu. Kiedy Morgan De Sanctis podniósł piłkę w kierunku nieba, wyglądał jak Coelho, jak Wojownik Światła. I wtedy wszystkie puszczyki padły. Tam, u góry, zostaliśmy tylko my.

Autor: TONINO CAGNUCCI

Tłumaczenie: kaisa

Autor: kaisa